

BARBARA JUTRZENKA-TRZEBIATOWSKA 

## Życie „pomiędzy”. O antropologii i badaniach terenowych – rozmowa z ks. prof. Wojciechem Bębem<sup>1</sup>

*Barbara Jutrzenka-Trzebiatowska: Jak to się zaczęło?*

**Wojciech Bębem:** Od kiedy byłem dzieckiem, chciałem badać kultury. Pochodzę z domu wielokulturowego, jestem jakby „stworzeniem wielu kultur”. Mama mówiła do mnie po francusku, ojciec po niemiecku, a dziadek w jidysz. Idąc do szkoły, właściwie nie rozumiałem dzieci, które tam były, bo one mówiły po polsku. Kiedy już nauczyłem się języka polskiego, był on dla mnie językiem do komunikacji, ale wciąż w jakimś stopniu obcym. To był język, który łączył mnie z tymi, z którymi grałem w piłkę nożną, natomiast język, w którym czytałem, zawsze był jakimś językiem obcym. Miałem książki pisane przeważnie po francusku, które mama przywoziła mi z Francji. Zawsze interesowały mnie inne kultury, wierzenia, religie. Bardzo chciałem połączyć bycie księdzem i bycie antropologiem. Więc poszedłem do seminarium: byłem i w warszawskim, i w krakowskim, tam gdzie uczyły największe sławy, ale nigdy nie widziałem siebie jako proboszcza gdzieś w parafii, i nigdy też nim nie byłem. Doktoryzowałem się z antropologii na Uniwersytecie Warszawskim, w obecnym Instytucie Etnologii i Antropologii Kultury, pisałem pracę o Papui Nowej Gwinei, doktoryzowałem się też z religioznawstwa na dzisiejszym Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Habilitację uzyskałem w PAN w Warszawie. Żeby wyjechać na misje, w tamtym czasie podłączaliśmy się do werbistów, ponieważ „komuna inaczej nie wysyłała”.

---

<sup>1</sup> Wywiad z profesorem Wojciechem Bębem został przeprowadzony w ramach cyklu spotkań otwartych pt. „Dotyk antropologii”, organizowanych przez Studenckie Koło Naukowe Etnologów Uniwersytetu Gdańskiego, w 2018 r., w Gdańsku.

*Czyli ks. Profesor chciał połączyć te dwa stany? Być antropologiem i misjonarzem?*

W pewnym sensie tak. W późniejszych czasach jedni o mnie mówili: „Antropolog, szkoda, że jest księdzem”, a inni: „Ksiądz, szkoda, że jest antropologiem”. Ale było to raczej nie połączenie, a życie pomiędzy tymi dwoma stanami. Jednak ja już od dziecka miałem takie życie „pomiędzy”. I to jest chyba najlepsze, co wyniosłem z domu, i to kontynuowałem. W dzieciństwie zawsze byłem jakby w dwóch światach: w świecie, który mnie interesował, czyli w domu, gdzie funkcjonowały różne języki, gdzie studiowano i czytano; i w szkole, w której się nie mieściłem, nie w sensie fizycznym, ale w sensie treści nauczania; ja byłem wtedy już na zupełnie innym etapie. Chciałem szybko wyjechać z Polski: na badania, na misję.

*Australia, Papua-Nowa Gwinea, Oceania. Dlaczego akurat tam?*

Kiedy podejmowałem decyzję o wyjeździe, interesowały mnie Australia, Oceania i Paragwaj. Paragwaj ze względu na to, że nikt nie prowadził tam badań z powodu rządów dyktatury. Dlatego mnie to interesowało, wyobrażałem sobie, że pójdę z Indianami do lasu i wrócę do cywilizacji za piętnaście lat. Jednak kiedy powiedziałem jasno, co chcę tam robić, zostałem skreślony z listy kandydatów do wyjazdu do Paragwaju. Więc zapisałem się na drugą listę, do Nowej Gwinei. Natomiast finalnie wyjechałem do Australii. Po przyjeździe dostałem wizę i obywatelstwo, co bardzo ułatwiło mi później prowadzenie badań, praktycznie mogłem jechać tam, dokąd chciałem. Również studiowałem: w Sydney dziennikarstwo, komunikację opartą na symbolach kultury, antropologię uzupełniałem w zakresie wiedzy o Aborygenach i Nowogwinejczykach oraz ludach Oceanii, co dało mi możliwość pracy wśród nich. Nie może się to udać antropologowi nieznanemu Aborygenów – oni mówią w tak inny sposób.

*Gdzie ks. Profesor prowadził pierwsze badania terenowe?*

Po studiach chciałem gdzieś zacząć badania, a że byłem zafascynowany Malinowskim i innymi badaczami (był rok 1975), doszedłem do wniosku, i tu się nie pomyliłem, że jedynym miejscem, gdzie mogę zacząć studia, jest Papua Nowa Gwinea. W Papui zajechałem do takich miejsc, gdzie jeszcze białego nie widziano. Dla badań to był kraj-marzenie. Jednak niewielu antropologów chciało tam jechać. Dlaczego? Rozmawiałem z córką Margaret Mead i ona powiedziała mi, że Papua Nowa Gwinea jest terenem, który rozbija małżeństwo każdego antropologa. Antropolog, który ma współmałżonka, nie będzie w stanie prowadzić badań, ponieważ ciągle będzie się obawiał o trwałość małżeństwa. Więc to był teren dla mnie wymarzony. Od razu się zgłosiłem się, jechałem tam nie po to, aby być proboszczem i prowadzić misję, lecz na badania. W Papui najpierw poszedłem do górali, ale stwierdziłem, że wśród nich niczego nie zrobię. Nie dlatego, że ich nie lubię, ale dlatego, że przerażało mnie obecne tam okrucieństwo i to, czego tam doświadczyłem było dla mnie zabójcze. Dlatego przeszedłem na Wybrzeże – ze względu na Margaret Mead i jej książki, które znałem, zacząłem badać Arapeszów. Ona badała Arapeszów Icanita, ja Górnych, czyli sąsiednich. I tam zająłem się tym, co najbardziej lubiłem, czyli badaniem połączeń wierzeń i kultury. Doszedłem do wniosku, że nie ma czegoś, co jest podzielone na sacrum

i profanum, nie ma świętego i świeckiego, wszystko jest połączone. Stąd moje studia nad sacrum i etnologią religii.

*Jednak nie ograniczył się ks. Profesor do Arapeszów. Jaki był następny obszar badań?*

Tak. To prawda. Fascynowało mnie odnalezienie terenu, do którego białą człowieka jeszcze nie dojechał. Tę fascynację nosiłem w sobie od dziecka. I tak odnalazłem wyspę Bem. Bardzo ciężkie warunki: na wyspie żyło wtedy około 900 osób i 1000 świń. Jednak tam był ten tradycyjny system, tradycyjna kultura, której nigdzie indziej nie znalazłbym... może w górach Papui, ale tam nie mogłem badać. Na wyspie Bem spędziłem kilka lat i uważam, że to najlepsze badania, które zrobiłem w życiu. Uczyłem się języka, ludzie uczyli mnie dosłownie wszystkiego, wchodziłem w ich kulturę w pełni; miałem nawet zaszczyt uczestniczyć w naradach. Językiem Bem mówiłem chyba lepiej niż po polsku – no właśnie, mówiłem, a nie tylko znałem. Jednak po kilku latach doszedłem do wniosku, że przebadalem, co zamierzałem i czas pojechać gdzieś indziej.

*I tak pojawili się Aborygeni – można powiedzieć, największa antropologiczna miłość i fascynacja ks. Profesora.*

Po badaniach na wyspie Bem wróciłem do Australii. Od dawna miałem kontakt z Aborygenami, jednak nieraz człowiek czeka lata, aby poczuć jakby wiatr w skrzydłach. Nie o to chodzi, że pojedę i oni natychmiast mnie przyjmą, nie! Czeka się latami. W ogóle jestem przekonany, że gdy antropolog jedzie w teren, żeby poznać drugiego człowieka, to musi czuć. On musi czuć. W badaniu ludów plemiennych Afryki, Oceanii, Ameryki Południowej trzeba czuć człowieka. Trzeba z nimi się łączyć, jeść to, co oni, ale to jeszcze nie wszystko.... Czuć... Aborygenów poczułem po wielu latach dopiero. Poczułem, że stają mi się bliscy. Jako antropolog muszę zaprzyjaźnić się z nimi, badać ludzi, a nie eksponaty, bo inaczej jest to strata czasu. Trzeba zaprzyjaźnić się, robić to, co oni, choć czasem jest to bardzo trudne. Zaprzyjaźnić się tak, żeby On mnie nie denerwował, gdy uwidaczniają się między nami różnice. Wiesz, co jest najważniejsze u antropologa? Wycucie człowieka. Nie wiedza o człowieku, bo inaczej staniemy się komputerami, maszynami, a nie ludźmi.

Kolejna ważna rzecz dla antropologów: my się z nimi [badanymi] nie bratamy, to oni muszą nas przyjąć. I to jest coś, czego zawsze, między innymi, uczył studentów: ja, jako antropolog, nie mogę się narzucać, to oni albo mnie przyjmą, albo mnie nie przyjmą. Do Aborygenów od początku mojego pobytu w Australii jeździłem, aby porozmawiać, pobyc, ale gdy po kilku latach poczułem wiatr w skrzydłach, nie martwiłem się o nic – ani o to, co będę jadł, ani gdzie będę spał. Przełomem była dla mnie sytuacja, gdy będąc na pustyni wschodniej, dostałem ataku malarii, a to oznaczało koniec, bo wiedziałem, że nigdzie w tym stanie nie dojdę. Budząc się w szpitalu, pytam lekarzy, jak się tu znalazłem, a oni na to: „Przynieśli cię”. – „Ale kto mnie przyniósł?” – „No, Aborygeni”. Kolejny rok szukałem tych, którzy mnie uratowali, chciałem dla nich przyjęcie zrobić, ale mi odmówili, oznajmili, że nie uratowali mnie dla piwa i przyjęcia.

To jest właśnie to: coś nieprzeciętnego, kiedy już czuje się ten wiatr, kiedy Oni powiedzą, że lubią, wtedy i ty możesz im to powiedzieć. A jeśli jest ktoś, kogo

nie lubią, to go zniszczą. Byłem w Meksyku, gdzie został zabity Polak; obcięto mu głowę, wyciągnięto serce i odcięto lewą stopę, a to oznacza, że wszedł na tereny Majów. Stało się tak dlatego, że on przyjechał badać, zobaczyć, a nie zapytał o pozwolenie. A jak lubię, to zapytam. Bo to jest Człowiek. To kolejna rzecz, której zawsze uczę: to jest Człowiek. Taki jest cały mój przekaz antropologiczny: to nie jest obiekt badań, to jest Człowiek. Żeby badać, muszę się zaprzyjaźnić, wejść w relację z nimi. A żeby wejść w relację, potrzeba roku, dwóch. Nie ma sensu przyjeżdżanie do ludów plemiennych na krótko, ponieważ zanim się zaprzyjaźnię, zanim wejdę w relację, zanim oni mnie zaakceptują i zobaczymy w sobie nawzajem człowieczeństwo, zanim ja przekonam się, czy mi nie przeszkadza, że on ma inną wiarę, inne zwyczaje, potrzeba czasu. Jeśli ja go zaakceptuję, to zaakceptuję całkowicie, nie po to, aby go nawrócić, tylko dla niego samego – takiego, jakim jest. Gdy jestem w terenie, Aborygeni do mnie przychodzą, często u mnie śpią całymi grupami. Kiedyś przyjechał pewien Polak, i pyta, czy oni do kościoła chodzą. „Nie, ale przyjdą, jak ja jestem”. – „A czemu?” – „No, bo oni są niewierzący”. Oni nie przychodzą na Mszę Świętą, którą odprawiam, żeby się nawrócić, nie, oni przychodzą, żeby posiedzieć. Po Mszy Świętej zjemy coś, pójdziemy gdzieś na polowanie, samochodem gdzieś pojedziemy. I to jest wizja, którą przedstawia antropolog, bo antropolog na polu badań musi wejść w relację przyjaźni. Jeśli nie wejdzie w relację przyjaźni, straci czas, zrobi badania, ale będzie takim wymoczkim antropologicznym, bo on tych ludzi nie polubił. Zawsze wracam do myśli, którą usłyszałem w pewnej rozmowie: „Powoli, aż mnie zaakceptujesz, a wtedy bierzesz odpowiedzialność za mnie”. To jest antropologia. W badaniach terenowych nie chodzi o to, że jadę i zaakceptuję, a oni mnie zaakceptują albo nie. Więc prowadzę badania wśród ludzi, wśród których najlepiej się czuję i oni czują mnie.

*Czyli teren terenowi nierówny? Wśród których społeczności tubylczych ks. Profesor czuje się najpełniej, najbliżej tubylców?*

Prowadzę badania w całej Australii, jednak najbliżej Aborygenów jestem na przykładzie York. Udało mi się tam poprowadzić badania na tzw. terenach suchych. Aborygeni są zniszczeni, 90% spośród nich pije nałogowo. Wyjaśnienie dla tych, którzy nie znają sytuacji: kapitan Cook w 1788 roku zabrał im ziemię i określił tę ziemię jako niczyją. I do 1967 roku, czyli 200 lat prawie, byli poza kategorią stanu i prawa. Przez dwieście lat dla Australijczyków to nie byli ludzie, a flora i fauna. Gdybym kogoś z nich wtedy zabił, może by mnie sądzono, że względu na to, że coś trzeba zrobić, ale nie ze względu na człowieczeństwo. Do dziś Australijczycy ich nie przeprosili. No tak, mówią, że źle się stało, ale nie przeproszą, nie poproszą Aborygenów o wybaczenie za całkowite pozbawienie ich ziemi. To są te tereny, w których „siedzę”, które dobrze znam. Australię znam lepiej niż Polskę. Objechałem ją całą. Kiedyś spotkałem mężczyznę, który mi pożyczył harleya na trzech kołach, i jeszcze zapłacił za moją podróż – był już umierający, dał mi swojego harleya, którym objeżdżałem całą Australię. Wywoływałem sensację, zdjęcia robiono... kto widział wtedy harleya na trzech kołach, kiedy harleye kosztowały 70 tysięcy dolarów... Australia, Tasmania to są te tereny, w których w każdej

chwili, po wylądowaniu, jestem. Nie staję się, tylko jestem. Ale prowadziłem badania w różnych terenach i gdybym miał wybór, dokąd zabrać studentów, to pojechałbym z nimi na wyspy Nowej Gwinei, gdzie nic nie grozi, albo na tereny Vanuatu, nie Nowej Kaledonii, ale Vanuatu, Samoa, Fidzi, bo tam też jestem.

Pomyśl, jak trudno antropologowi wejść w teren. Na Vanuatu dostałem się, bo prowadziłem wykłady na uniwersytecie, a wielu studentów którzy mówili w języku pidżin. było z Vanuatu. Ja ten język lubię, dowcipy w tym języku im opowiadałem. Oni siadali, rozmawialiśmy, i zapraszali mnie na Vanuatu. Tak zrodziła się szansa, dzięki której mogłem tam jeździć. Bo nie dzieje się tak, że zaplanuję sobie badania i po prostu pojedę gdzieś jako antropolog. W ten sposób nie będzie szansy na poznanie. A kiedy przyjeżdżam na zaproszenie, mówię, kogo znam i oni mnie kierują do swoich przyjaciół, do następnych przyjaciół, i w ten sposób człowiek poznaje świat.

Lubię Maorysów, których opuściłem, chociaż to była grupa najbardziej niedostępna dla mnie. Gdy pojechałem pierwszy raz na Nową Zelandię i powiedziałem, że jestem antropologiem, od Maorysów usłyszałem po angielsku FO (*fuck off*) i to na dobre – miałem w ogóle się nie pokazywać. Pamiętam, bo mieszkałem tam dwa, trzy tygodnie, i kiedykolwiek ich widziałem, to kiwali palcem i mówili FO. No więc tak zrobiłem, wyjechałem. Drugi raz pojechałem, nie przyjęli mnie. Kolejna ważna sprawa – nie można myśleć: jadę i mnie przyjmują, bo ktoś na mnie czeka. Nikt nie czeka. A trzeci wyjazd ułożył się zupełnie inaczej. Pewna pani potrzebowała zaświadczenia, że była ochrzczone w Cieśninie Torresa. Zrobiłem jej przysługę, bo prawie całą noc siedziałem, żeby tę metrykę pokleić, zrobić odbitki i dać jej. Chciała zapłacić, a ja mówię: „Kobieto, mowy nie ma, nie zrobiłem tego dla pieniędzy”. Ona na to: „Wiesz, na wszelki wypadek, jakbyś kiedyś chciał jechać tam do Nowej Zelandii, masz wizytówkę moją, podaj im tam”. I dała. No i tam pojechałem – do Nowej Zelandii. Było gorąco jak piorun, to poszedłem na piwo. A tam jakiś pan stoi, w środku Maorysi siedzą, patrzą na nich i staję się o 10–15 kg chudszy, żeby łatwiej by mi było uciec, gdyby mnie pogonili. No, ale nic, wchodzę na to piwo, podchodzę do baru, wypijam, biorę drugie. Potem podchodzę do Maorysów i podając tę wizytówkę, mówię: „To ona kazała mi tu przyjechać, ale nie wiem, kto to jest”... Nagle taka cisza zapanowała, wszyscy powstawali, wycofali się i uciekli łącznie z barmanem. Pochodzili trochę, wrócili. Okazało się, że była to siostra królowej. Wyszła za męża w Australii, jej ojciec pracował w Cieśninie Toressa i tam właśnie była ochrzczone. Od razu znalazłem się u królowej. Wyobraź sobie, jakie życie miałem... Nie musiałem się martwić o jedzenie, o nic – mieszkałem u królowej, z wszystkimi wygodami. Gdy wychodziłem, czapkowali przede mną, nawet chcieli tatuaż mi zrobić, ten moukwo, czyli rzeźbienie twarzy i ciała. Nie zgodziłem się, choć bliski byłem, ale wiedziałem, że jakbym do Polski wrócił, to w żadnym kościele nie mógłbym Mszy odprawić. Ale też wiedziałem, że tam nie zostanę. Gdybym zostawał, to „tak sobie”, ale „tak”, to po co? Jednak u Maorysów nie czuję tej więzi... Pogadam, piwo wypiję, na ryby pojedziemy, na polowanie pójdziemy, ale to nie jest moje. Nie ma tam przyjaźni.



*Jakie jeszcze kultury pozaeuropejskie poznał ks. Profesor?*

Na Wyspie Wielkanocnej chyba najbardziej przeżyłem ten szok, gdy widzi się, jak kultura zanika. Patrzyłem na posągi, a te posągi w pewien sposób milczały, nie przemówiły, no bo do kogo mają mówić, kiedy tam większością są obcy ludzie, z Chin itd. Milczące posągi... mówi się, że są to wielkie posągi. Dla mnie to są milczące posągi, które do tego terenu już nie pasują. Tam przyjeżdżają ludzie z całego świata, ale posągi milczą... a kiedyś była tam kultura... Objechałem cały świat: byłem w Afryce, zwiedzając bardzo wiele krajów, także w Ameryce Południowej, ale jako turysta. Mnie już nie interesują badania w takim znaczeniu, żeby „jechać i badać”. Już jestem za stary. A co mnie interesuje? Przede wszystkim, żeby ktoś przejął po mnie... czyli żeby znaleźć kogoś, kto by ludy Oceanii polubił, nie w teorii, tylko w rzeczywistości. A to bardzo ciężko...

*Dlaczego? Jakie widzi ks. Profesor trudności w uprawianiu antropologii?*

Dlaczego ciężko – zaraz powiem. Wspominałem to, co córka Margaret Mead powiedziała: antropolog, który ma rodzinę, niech bada w Europie, bo się nie nadaje na wyjazd do ludów tubylczych. Wielu antropologów się udało do Australii i Oceanii. Pamiętam, gdy dwie rodziny z Anglii przyjechały. Jedna żona odeszła od męża, wyszła za tubylca, który był szefem banku, a mąż drugiej wziął sobie sześć tubylczyń, pojechał do Australii, ale one go finansowo wykończyły, więc wyjechał do Ameryki i ożenił się z białą kobietą. Nie znam żadnego małżeństwa, które przetrwało. Antropolog nie przeżyje z żoną i dziećmi w terenie Oceanii. W Australii przeżyje, ale też nie pójdzie na miesiąc na Walkabout, tak jak ja mogłem wyjść w teren i nawet drzwi nie zamykałem. I to jest problem antropologów, dlatego mamy coraz mniej „czystych” antropologów terenowych. Po latach mogę powiedzieć o trudności antropologicznej, z jaką się od dawna borykałem, bo do tej pory nie spotkałem osoby, która wyjechałaby ze mną, która usiadłaby w chacie i nie przeszkadzałoby jej, że w kącie „są nieczystości”, która jadłaby, chociaż jedzenie cuchnie. Ja w Polsce od 20 lat nie miałem nigdy grypy żołądkowej, nigdy. No bo żołądek już jest „doświadczony”, można powiedzieć, że bogate życie wewnętrzne prowadzę, to znaczy prowadziłem – teraz już nie – tyle robaków miałem. Gdybym, jako antropolog, myślał, co się stanie, gdy zjem coś z robakiem... Pamiętam pędraki, nieraz grubsze od palca, Zastanawiałem się, jak tu je zjeść? Przede mną wpatrzono oczy piątki, szóstki dzieci... I pomyślałem: to jego problem, robaka problem, nie mój. Dali, więc zjadłem i nic się nie stało. Ale to, co jest trudne dla was – młodych, dla nas może nie, bo czasy „komuny” i też moje doświadczenia z dzieciństwa dały pewną odporność. Dlatego na Oceanii nie ma wielu antropologów z Europy. Tam antropologami są Japończycy, Koreańczycy, którzy jadą w grupach trzy-, czterosobowych, nakręcą film, potem też trzy albo cztery osoby usiądą i napiszą książkę, ale czy ona ma wartość, to już inna sprawa.

*Czyli przeszkodą jest nastawienie antropologa. Konieczna jest swego rodzaju otwartość na doświadczenie, często trudne. W takim razie, jaki powinien być antropolog?*

Żeby badać ludność tubylczą, antropolog musi wiedzieć, czy jest w stanie tych ludzi polubić. Nikt się nie może zmusić, nawet ze względu na pieniądze, do

badania ludzi, których nie lubi. Zmuszanie się nic nie da, a można i narazić się na obcięcie głowy.

Następna sprawa: nie ma fenomenu nauczenia się języka. Poznałem trzynaście języków tubylców, właściwie nie ucząc się ich. Przychodziły dzieci, o coś pytały, a ja próbowałem odpowiedzieć. Albo coś plotłem specjalnie, żeby się śmiały, i wtrąciłem jakieś brzydkie słowo, którego się gdzieś nauczyłem, i jeszcze im wmawiałem, że to one mi powiedziały, no i cała wioska się śmiała. To była nauka wynikająca z tego, że ich lubię. Antropolog, który chciałby się nauczyć języka najpierw, traci czas, to się nie uda. Ci ludzie muszą wiedzieć, że chcą nauczyć się języka, nie żeby mówić, ale żeby z nimi rozmawiać. Jeżeli ktoś chce jako antropolog jechać w teren, musi ludzi polubić. Taka jest moja zasada, którą traktuję nie jako wystąpienie, ale jako testament.

To mówi stary antropolog: za nic bym nie zamienił tych lat, a 30 lat spędziłem tam, w Australii i Oceanii. Mogłbym wielokrotnie powtarzać, że to mi dało szczęście, pełne szczęście. Pełne szczęście, gdy wieszałem w domu obrazy Naje Lozumi, pełne szczęście, gdy przeglądam zdjęcia, a mam ich kilka tysięcy, i teksty, które chcę jeszcze zdążyć napisać – to mi daje szczęście. Bo ja nie piszę o ludach prymitywnych, piszę o ludziach, których znam. Nie napisałem książki o Maorysach, choć mam bardzo dużo materiałów, bo nie jestem w tej relacji z nimi. Relacje mam z Aborygenami, Wyspiarzami Cieśniny Toressa, Nowogwinejczykami. U nas na etnologii brakuje podkreślenia tej zasady: prowadzić gdzieś badania to wiedzieć, czy jestem w stanie wejść w relację. Po drugie, jeśli zamierzam badać, to badam, bo chcę być tam, czyli: antropolog to jest nie podróżnik. I tutaj też uczę, że niczego nigdy nie wolno badać na siłę. Jeśli chcę gdzieś jechać, pytam, czy tam mnie chcą. I tego dotyczy następne ostrzeżenie. Tak, jak mówię, mogłem robić karierę w Kościele, ale nigdy tego nie chciałem, nie dlatego, że nie lubię Kościoła, a dlatego, że ja jestem antropologiem i to mi daje pełne szczęście.

*Dziękuję bardzo za rozmowę.*

## SUMMARY

Living „in-between”: Anthropology and fieldwork – a conversation with Professor Wojciech Bęben

Barbara Jutrzenka-Trzebiatowska talks to Wojciech Bęben about anthropology and field research.

**Keywords:** Wojciech Bęben, field research, ethnology, biography, Australia, New Guinea, Oceania